

CLÉMENCE
MICHALLON

C I C H A
LOKATORKA

PRZEŁOŻYŁ
PIOTR KRÓLAK

MARGINESY

The Quiet Tenant

COPYRIGHT © Clémence Michallon, 2021

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Piotr Królak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Dla Tylera

Lecz niestety! Każdy wie, że te wilki grzeczne
Z wszystkich wilków są najbardziej niebezpieczne.

Charles Perrault, *Czerwony Kapturek*
przeł. Barbara Grzegorzewska

Kobieta w szopie

Lubisz myśleć, że każda kobieta ma kogoś takiego, a on akurat jest twój.

Tak jest łatwiej. Kiedy nikt nie jest wolny. W twoim świecie nie ma już miejsca dla tych, które wciąż są na zewnątrz. Nie ma sympatii dla wiatru w ich włosach, ciepłości dla słońca ogrzewającego ich skórę.

Przychodzi w nocy. Otwiera drzwi. Szura butami po zeschniętych liściach. Zatrząskuje drzwi za sobą i z powrotem przesuwając rygiel.

Mężczyzna – młody, silny, dbający o wygląd. Wracasz pamięcią do dnia, kiedy się poznaliście, do tego krótkiego momentu, zanim ujawnił swoją prawdziwą naturę, i widzisz faceta, który ma dobre kontakty z sąsiadami. Zawsze na czas wynosi śmieci do recyklingu. Kiedy rodziło się jego dziecko, był na sali porodowej, gwarant bezpieczeństwa w obliczu wszelkiego zła tego świata. Matki widzą go w kolejce w spożywczym i oddają w jego ręce swoje małe dzieci: „Czy może pan ją chwilę potrzymać? Zapomniałam o mleku, za sekundę wracam”.

A teraz jest tutaj. Teraz jest twój.

Wszystko dzieje się według określonego porządku.

Zerka na ciebie, jakby przeprowadzał inwentaryzację. Jesteś tutaj. Dwie ręce, dwie nogi, tułów, głowa.

Potem wzdycha. Mięśnie jego pleców rozluźniają się, gdy przygotowuje się do waszej wspólnej chwili. Pochyla się, by dostosować ogrzewanie albo wiatrak, w zależności od pory roku.

Wyciągasz rękę i dostajesz plastikowe pudełko. Para unosi się z lasagne, zapiekanki z mięsem mielonym, makaronu z tuńczykiem, czegokolwiek, co akurat przyniósł. Gorące jedzenie tworzy pęcherze na twoim podniebieniu.

Podaje ci wodę. Tylko w manierce, nigdy w szkle. W niczym, co mogłoby się stłuc i mieć ostre krawędzie. Zimna ciecz przeszywa twoje zęby niczym prąd. Ale pijesz, bo czas na picie jest właśnie teraz. W ustach zostaje ci metaliczny posmak.

Podaje ci wiadro i robisz to, co musisz. Przestałaś się wstydzić dawno temu.

Bierze twoje odchody i na chwilę cię zostawia. Słyszysz go za ścianą: ciche stąpanie butów po ziemi, rozprysk z węża ogrodowego. Kiedy wraca, wiadro jest czyste i wypełnione wodą z mydłem.

Obserwuje cię, kiedy się myjesz. Twoje ciało zna jedną hierarchię – ty jesteś jego lokatorką, a on właścicielem. Przekazuje ci przybory: kostkę mydła, plastikowy grzebień, szczoteczkę do zębów, małą tubkę pasty. Raz w miesiącu szampon na wszy. Twoje ciało to wieczne źródło potencjalnych kłopotów, a on dusi każdy z nich w zarodku. Raz na trzy tygodnie wyjmuje obcinacz do paznokci z tylnej kieszeni spodni. Czeka, aż przywrócisz swoje dłonie do względnego porządku, a potem zabiera obcinacz. Zawsze go zabiera. Tak jest od lat.

Wkładasz z powrotem ubrania. Wydaje ci się to bezsensowne, biorąc pod uwagę to, co nastąpi za chwilę, ale on tak zdecydował. Domyślasz się, że jeśli zrobisz to sama, wszystko zepsujesz. To on musi rozpiąć suwaki i guziki, zdzierać warstwę po warstwie.

Geografia jego ciała: coś, czego nie chciałaś się uczyć, ale i tak się nauczyłaś. Pieprzyk na ramieniu. Pasek włosów biegnący w dół brzucha. Jego dłonie, silny uchwyt palców. Nacisk rozgrzanej ręki na twoją szyję.

W trakcie nigdy na ciebie nie patrzy. Tu nie chodzi o ciebie. Chodzi o wszystkie kobiety i wszystkie dziewczęta. Chodzi o niego i o wszystko, co gotuje mu się w głowie.

Kiedy następuje koniec, nigdy się nie ociąga. Jest mężczyzną, który żyje na zewnątrz, ma różne obowiązki. Rodzina, gospodarstwo. Sprawdzić pracę domową. Obejrzeć film. Uszczęśliwić żonę i przytulić córkę. Na liście rzeczy do zrobienia jest wiele punktów

domagających się, by je odhaczyć – wszystkie istotniejsze niż ty i twoja żałosna egzystencja.

Z wyjątkiem tej nocy.

Dzisiaj wszystko się zmienia.

Tej nocy widzisz, jak mężczyzna – ten bardzo ostrożny mężczyzna, którego każdy ruch jest wykalkulowany – łamie własne zasady.

Podnosi się i siada, podpierając się rękoma na drewnianej podłodze. Jakimś cudem w jego palcach nie ma żadnych drzazg. Zapina pasek pod pępkiem, przyciskając metal sprzączki do twardej skóry podbrzusza.

– Posłuchaj – mówi.

Coś się w tobie wyostrza, zmuszasz się do całkowitego skupienia.

– Jesteś tutaj już wystarczająco długo.

Przyglądasz się jego twarzy. Nic. Jest małomównym człowiekiem, a z jego miny rzadko da się coś wyczytać.

– Co masz na myśli? – pytasz.

Wkłada z powrotem bluzę z polaru, zapina pod samą szyję.

– Muszę się przenieść – rzuca.

Znów musisz spytać:

– Co takiego?

Żyła pulsuje mu na skroni. Zirytowałaś go.

– Do nowego domu.

– Dlaczego?

Marszczy brwi. Otwiera usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, po czym się rozmyśla.

Nie dzisiaj.

Ściągasz na siebie jego wzrok, kiedy wychodzi. Chcesz, żeby upajał się twoją konsternacją, wszystkimi pytaniami, na które nie odpowiedział. Chcesz, żeby odczuwał satysfakcję, zostawiając cię w zawieszeniu.

Pierwsza zasada przetrwania w tej szopie brzmi: on zawsze wygrywa. Przestrzegasz jej od pięciu lat.

2

Emily

Nie mam pojęcia, czy Aidan Thomas wie, jak się nazywam. Jeśli nie, nie miałabym mu tego za złe. Ma ważniejsze rzeczy do zapamiętania niż imię dziewczyny, która dwa razy w tygodniu nalewa mu cherry coke.

Aidan Thomas nie pije alkoholu. Piękny mężczyzna, który stroni od procentów, może być dla barmanki nie lada problemem, ale to nie alkohol kręci mnie w tej pracy; to ludzie siadający przy barze i oddający się pod moją opiekę na godzinę czy dwie.

Aidan Thomas nie czuje się w takiej sytuacji zbyt komfortowo. Jest niczym jeleń na poboczu, czekający, aż go miniesz, gotów czmychnąć, jeśli okażesz mu zbyt duże zainteresowanie. Pozwalam więc, by to on przychodził do mnie. Wtorki i czwartki. W morzu stałych bywalców jest jedynym, którego chcę zobaczyć.

Dzisiaj jest wtorek.

O siódmej zaczynam zerkać w stronę wejścia. Jednym okiem pilnuję jego, a drugim kuchni: głównej kelnerki, kelnera podającego wino, szefa kuchni, który jest strasznym złamasem. Ręce poruszają mi się na autopilocie. Jeden sidecar, jeden sprite, jeden jack z colą. Otwierają się drzwi – to nie on. To kobieta z czteroosobowego stolika przy wejściu, która wyszła na chwilę, by przestawić samochód. Jeden bitters z wodą gazowaną. Nowa słomka dla dzieciaka w głębi sali. Informacja od głównej kelnerki: tym z czteroosobowego stolika nie smakował makaron. Był za zimny albo zbyt mdły – nie jest do końca jasne, o co mają pretensje, ale Cora nie zamierza tracić napiwku dlatego, że kuchnia nie potrafi dostatecznie podgrzać jedzenia. Udobruchać Corę. Powiedzieć jej, żeby kazała kucharzom przygotować makaron od nowa, z jakimś darmowym dodatkiem w ramach przeprosin. Albo polecić Sophie,

naszej cukiernicze, by przygotowała jakiś deser, jeśli ci ze stolika wyglądają na łasuchów. Cokolwiek, byleby zamknąć im usta.

Restauracja jest czarną dziurą ludzkich potrzeb, potworem nie do okiełznania. Ojciec nigdy nie zapytał mnie o zdanie, po prostu założył, że zajmę jego miejsce. A potem wziął i umarł, bo tak właśnie bywa z szefami kuchni – funkcjonują w wielkiej kuli ognia i chaosu, aż wreszcie zostawiają cię samą na pobojuwisku.

Przyciskam palce do skroni, próbując odeprzeć falę lęku. Może to pogoda: jest pierwszy tydzień października, wciąż wczesna jesień, ale dni robią się coraz krótsze, powietrze chłodniejsze. Może chodzi o coś innego. Ale dziś wieczorem czuję się winna za każdą porażkę.

Drzwi się otwierają.

To on.

Coś się we mnie rozjaśnia. Kipi we mnie radość, za sprawą której czuję się mała, trochę nieprzyzwoita, niewykluczone, że nieco głupia; ale to najprzyjemniejsze doznanie, jakie może zaferować praca w restauracji, i poddaję się mu. Dwa razy w tygodniu.

Aidan Thomas siada w milczeniu przy barze. Nie rozmawiamy ze sobą poza wymianą zwykłych uprzejmości. To taniec, a my znamy nasze ruchy na pamięć. Szklanka, kostki lodu, pistolet do nalewania napojów, papierowa podkładka z napisem „Amandine”, wykonanym ozdobną kursywą. Jedna cherry coke. Jeden zadowolony klient.

– Dziękuję.

Uśmiecham się przelotnie i zajmuję ręce czymś innym. Między kolejnymi zadaniami – umyć shakera, uzupełnieniem słoików z oliwkami i plasterkami cytryny – rzucam mu ukradkowe spojrzanie. Jest jak wiersz, który znam na pamięć i który nigdy mi się nie nudzi: niebieskie oczy, ciemnoblond włosy, schludny zarost. Zmarszczki pod oczami, bo swoje przeżył. Bo kochał i kogoś stracił. I dłonie: jedna spoczywająca na kontuarze, druga trzymająca szklankę. Spokojne. Silne. Dłonie, które opowiadają historię.

– Emily. – Cora nachyla się nad barem.

- Co znowu?

- Nick uważa, że musimy wyrzucić połędwicę wołową.

Thumień westchnienie. Napady złości Nicka nie są winą Cory.

- A dlaczego musimy to zrobić?

- Mówi, że jest źle pokrojona i czas gotowania jest nieprawidłowy.

Odrywam oczy od Aidana, by spojrzeć na Corę.

- Nie twierdź, że ma rację - dodaje. - Po prostu... kazał ci powiedzieć.

Kiedykolwiek indziej wyszłabym z za baru i sama stawiała czoło Nickowi. Ale nie pozwolę sobie odebrać tych paru chwil.

- Przekaż mu, że przyjął do wiadomości.

Cora czeka na dalszy ciąg. Wie równie dobrze jak ja, że nie da się spławić Nicka słowami „przyjęte do wiadomości”.

- Powiedz, że jeśli dostaniemy jakiegokolwiek skargi na połędwicę wołową, zajmę się tym osobiście. Obiecuję. Wezmę na siebie całą winę. Połędwicagate stanie się częścią mojej spuścizny. Przekaż mu, że wszyscy dzisiaj zachwycają się kuchnią. I że zamiast martwić się jakością wołowiny, powinien się skupić na przekazywaniu dań na salę, skoro jego pracownicy wydają zimne jedzenie.

Cora unosi dłonie z bezgłośnym „dobrze już, dobrze” i wraca na zaplecze. Tym razem pozwalam sobie na westchnięcie. Zamierzam się już zająć kilkoma kieliszkami do martini, które czekają na wypolerowanie, kiedy czuję na sobie spojrzenie.

Aidan.

Patrzy na mnie z za baru, uśmiechając się nieznacznie.

- Połędwicagate, hm?

Cholera. Wszystko słyszał.

- Przepraszam za to. - Zmuszam się do śmiechu.

Kręci głową i bierze łyk cherry coke.

- Nie masz za co przepraszać.

Odwzajemniam uśmiech i tym razem na serio koncentruję się na kieliszkach do martini. Kątem oka widzę, jak Aidan kończy napój. Wracamy do typowej choreografii: prośba o rachunek

wyrażona skinięciem głową, krótkie uniesienie dłoni w ramach pożegnania.

I tak po prostu najlepsza część mojego dnia dobiega końca.

Sięgam po rachunek Aidana – jak zawsze dwa dolary napiwku – i opróżnioną szklankę. Dopiero kiedy wycieram blat, zauważam pewne zakłócenie: zmianę w naszym dobrze przeciwiczonym zestawie tanecznych ruchów.

Podkładka. Ta, którą wsunęłam pod jego szklankę. Powinnam teraz wyrzucić ją do kosza na papier, ale nigdzie jej nie widzę.

Może spadła? Przechodzę na drugą stronę baru i omiatam wzrokiem podłogę przy stołku, na którym siedział raptem parę minut temu. Nic.

To bardzo dziwne, ale niezaprzeczalne: podkładka zniknęła.

3

Kobieta w szopie

Przyprowadził cię tutaj.

Widziałaś jego dom w przebłyskach, krótkich rzutach okiem, kiedy on akurat na ciebie nie patrzył. Od lat powtarzasz sobie w myślach te obrazy, przywiązana do każdego detalu. Dom w samym centrum skrawka ziemi. Zielona trawa, wierzby. Wszystkie rośliny przystrzyżone, wszystkie liście zamiecione. Mniejsze budynki rozsiane po podwórzu jak herbatniki na talerzu. Garaż wolno stojący, stodoła, stojak na rowery. Przewody elektryczne wijące się między gałęziami. Dowiedziałaś się, że ten mężczyzna żyje w pięknym i przytulnym miejscu. Miejscu, w którym dzieciaki mogą się wybiegać, a kwiaty rozwinąć.

Szedł szybko, najpierw w dół, drogą gruntową, a potem na wzgórze. Dom znikł w oddali, zastąpiony szpalerem drzew. Mężczyzna zatrzymał się. Wokół nie było niczego, na czym można by się wesprzeć, nikogo, do kogo można by wołać. Stałaś przed szopą. Cztery szare ściany, pochyły dach. Bez okien. Trzymał w dłoniach metalową kłódkę, oddzielił jeden klucz od reszty.

W środku nauczył cię zasad twojego nowego świata.

– Masz na imię... – odezwał się. Klęczał, ale i tak górował nad tobą, trzymając ręce po obu stronach twojej twarzy, tak że twoje pole widzenia było ograniczone jego palcami. – Masz na imię Rachel.

Nie nazywasz się tak. Znał twoje prawdziwe imię. Przeczytał je na prawie jazdy, które wyciągnął z twojego portfela.

Ale powiedział ci, że masz na imię Rachel, i zaakceptowanie tego stanu rzeczy nie podlegało dyskusji. Sposób, w jaki je wymówił, z warkliwym „r” i definitywnym „l” na końcu... Rachel była czystą kartą. Rachel nie miała przeszłości ani życia, do którego można by wrócić. Rachel mogła przetrwać w szopie.

– Masz na imię Rachel – powtórzył – i nikt nie wie, kim jesteś. Skinęłaś głową. Nie tak ochoczo, jak należało. Jego dłonie oderwały się od twojej twarzy i chwyciły cię za sweter. Pchnął cię na ścianę, przycisnął szyję ramieniem, wbił kości nadgarstków w twoją tchawicę. Nie miałaś czym oddychać, brakowało ci tlenu.

– Powiedziałem – wszystko wokół zawirowało, ale nieusłyszenie jego słów nie wchodziło w rachubę – że nikt nie wie, kim jesteś. Nikt cię, kurwa, nie szuka. Rozumiesz?

Puścił cię. Zanim zakasłałaś, zanim zaczęłaś dyszeć, zanim zrobiłaś cokolwiek, przytaknęłaś. Najzarliwiej, jak umiałaś. Przytaknęłaś, żeby zachować to, co najdroższe: życie.

Stałaś się Rachel.

Od lat jesteś Rachel.

Ona utrzymała cię przy życiu. Ty utrzymałaś siebie przy życiu.

Szuranie butów, zeschnięte liście, rygiel. Westchnięcie. Grzejnik. Wszystko jak zwykle, ale on jest inny. Tego wieczoru spieszy się z rytuałem, jakby zostawił wrzącą wodę na kuchence. Zanim zdążył przełknąć ostatni kęs zapiekanki z kurczakiem, już zabiera ci plastikowe pudełko.

– Dalej – mówi – nie będę tu siedział całą noc.

Ten pośpiech nie ma nic wspólnego z podnieceniem. Jesteś raczej jak piosenka, a on przewija fragmenty, które go nudzą.

Nie zdejmuje ubrania i suwak jego polaru wbija ci się w podbrzusze. Kosmyk twoich włosów zaczepia się o klamerkę jego zegarka, a on gwałtownie odsuwa rękę, usiłując się od ciebie uwolnić. Słyszysz rozdarcie, skóra twojej głowy płonie. Wszystko tak namacalne, tak realne, nawet jeśli on unosi się nad tobą jak duch.

Potrzebujesz go. Tutaj, z tobą. Zależy ci na tym, żeby zrelaksował się i poczuł komfortowo.

Zależy ci na tym, żeby mówił.

Czekasz na koniec. Wkładasz ubrania, tym razem na dobre.

Kiedy szykuje się do wyjścia, przeczesujesz włosy palcami. Gest, z którego korzystałaś na randkach, z łokciami w kurtce

motocyklowej opartymi o stół w restauracji, w białym tiszercie ożywionym kilkoma srebrnymi wisiorami.

Czasem ci się to zdarza. Przypominasz sobie fragmenty siebie i niekiedy ci to pomaga.

- Wiesz - odzywasz się - martwię się o ciebie.

Prycha kpiąco.

- Naprawdę. Po prostu zastanawiam się... Tylko tyle.

Pociąga nosem i wsuwa ręce do kieszeni.

- Może mogłabym pomóc - dodajesz. - Zrobić coś, żebyś mógł zostać.

Parska, ale nie rusza do wyjścia. Musisz się tego trzymać. Wierzyć, że to zapowiedź twojego zwycięstwa.

Raz na jakiś czas rozmawia z tobą. Rzadko i zawsze niechętnie, ale rozmawia. Czasem się przechwala. Kiedy indziej coś wyznaje. Być może z tego powodu w ogóle zawraca sobie głowę utrzymywaniem cię przy życiu. Są sprawy, którymi musi się z kimś podzielić, a ty jako jedyna możesz o nich usłyszeć.

- Jeśli powiesz mi, co się wydarzyło, może uda mi się coś wymyślić - mówisz.

Kuca, tak by jego twarz znalazła się na wysokości twojej. Czujesz jego miętowy oddech. Przykłada dłoń, ciepłą i szorstką, do twojego policzka. Wbija czubek kciuka w twój oczodół.

- Sądzisz, że jeśli ci powiem, uda ci się coś wymyślić?

Jego wzrok wędruje od twojej twarzy do stóp. Pełen odrazy. Pogardliwy. Ale zawsze - to ważne - nieco zaciekawiony. Rzeczami, które może ci zrobić. Rzeczami, które ujął mu na sucho.

- Co ty możesz wiedzieć o czymkolwiek? - Przesuwa palcem po twojej szczęce, jego paznokieć drapie ci brodę. - Wiesz chociaż, kim w ogóle jesteś?

Wiesz. Wbiłaś sobie to do głowy jak słowa modlitwy, jak mantrę. Jesteś Rachel. On cię znalazł. On nauczył cię wszystkiego, co wiesz. On dał ci wszystko, co masz. Łańcuch wokół kostki przytwierdzony do ściany. Śpiwór. Na odwróconej do góry dnem skrzyni przedmioty, które przyniósł ci przez te wszystkie lata: trzy

książki w miękkiej oprawie, portfel (pusty), piłeczka antystresowa (naprawdę). Przypadkowe, niedopasowane rzeczy. Zabrane, jak wywnioskowałaś, innym kobietom przez tego zbierającego szpargały mężczyznę.

- Znalazłem cię - mówi. - Byłaś zagubiona. Dałem ci dach nad głową. - Wskazuje na puste pudełko po jedzeniu. - Wiesz, kim byłabyś beze mnie? Nikim. Byłabyś martwa.

Wstaje. Strzela palcami, każdy z nich trzaska wyraźnie.

Jesteś mało istotna. Zdajesz sobie z tego sprawę. Ale w tej szopie, w tej części jego życia, jesteś wszystkim, co ma.

- Nie żyje - odzywa się. Sprawdza, jak te słowa brzmią, i wypowiada je ponownie: - Nie żyje.

Nie masz pojęcia, o czym mówi, dopóki nie dodaje:

- Jej rodzice sprzedają dom.

Wtedy się orientujesz.

Jego żona.

Próbujesz opanować wszystkie myśli, które przychodzą ci naraz do głowy. Chcesz powiedzieć to, co mówią w takich wypadkach normalni, taktowni członkowie społeczeństwa. „Tak bardzo mi przykro”. Chcesz zapytać: „Jak to się stało? Kiedy?”. Czy on to zrobił? - zastanawiasz się. Czy w końcu puściły mu nerwy?

- Więc musimy się przenieść.

Kręci się po szopie, na tyle, na ile można się kręcić po tak małej przestrzeni. Zmartwiony, co do niego niepodobne. Ale nie masz czasu przejmować się jego emocjami. Nie warto marnować czasu na gdybanie, czy to jego sprawka. Co za różnica? On zabija. Przecież to wiesz.

Musisz zrobić co innego: pomyśleć. Skorzystać z dawno nieużywanych fałd kory mózgowej, tych, które umożliwiały ci rozwiązywanie codziennych problemów. Odnaleźć tę część siebie, która pomagała przyjaciołom, członkom rodziny. Ale twój mózg krzyczy tylko jedno: jeśli on opuści ten dom, tę posiadłość, zginięsz. Chyba że przekonasz go, by zabrał cię ze sobą.

- Przykro mi - mówisz mu.

Tak bardzo ci przykro, cały czas. Przykro ci, że jego żona nie żyje. Żałujesz, z całego serca, że świat jest pełen niesprawiedliwości i że właśnie on tak bardzo jej doświadczył. Żałujesz, że utknął tutaj z tobą, kobietą, która wiecznie czegoś chce, zawsze głodna, spragniona i zziębnięta, i przy tym taka wścibska.

Druga zasada przetrwania w tej szopie brzmi: on zawsze ma rację, a ty zawsze żałujesz.

Wrócił. Wtorki i czwartki. Można na nim polegać jak na dobrej whisky, kuszącej obietnicami.

Aidan Thomas zdejmując czapkę traperkę, uwolnione spod niej włosy przypominają nastroszone pióra. Dzisiaj ma ze sobą torbę z zielonego nylonu, która wygląda jak kupiona w sklepie z demobilem. Wisi ciężko u jego boku, jej pasek wrzyna mu się w ramię.

Drzwi zatrząskują się za nim, a ja podskakuję przestraszona. Dotąd zawsze zamykał je ostrożnie za sobą, z jedną ręką na klamce, a drugą na framudze.

Podchodzi ze zwieszoną głową do baru. Jego kroki są cięższe niż zwykle i nie jest to chyba tylko kwestia torby.

Wyraźnie coś go niepokoi.

Wciska czapkę do kieszeni, przygląda włosy i rzuca torbę na podłogę.

- Masz moje manhattany?

Z roztargnieniem przesuwam dwa drinki w stronę Cory, a ona chwyta je i ucieka. Dopiero gdy się oddali, Aidan zerka na mnie.

- Co dla ciebie? - pytam.

Posyła mi zmęczony uśmiech.

- Przygotuję to, co zwykle - rzucam, sięgając po pistolet do nalewania napojów. Nagle coś przychodzi mi do głowy. - Albo mogę ci przygotować coś na poprawienie nastroju, jeśli chcesz.

Śmieje się cicho.

- Aż tak to widać?

Wzruszam ramionami, jakbym nie przywiązywała do tego większej wagi.

- Zauważanie takich rzeczy to moja praca.

Jego wzrok staje się pusty. W tle widzę gestykulującego żywo Erica. Opisuje dania dnia ludziom z czteroosobowego stolika przy wejściu. Tamci wpatrują się w niego z szeroko otwartymi oczami, spijając słowa z jego ust. Jest znakomitym showmanem. Wie, jak zyskać sympatię klientów, jak ledwie kilkoma zdaniem podwyższyć o parę procent swój napiwek.

Kochany Eric. Facet, który pozostał moim przyjacielem, nawet gdy stałam się jego szefową. Który zawsze mnie wspiera i z jakiegoś powodu wierzy we mnie, w to, że potrafię utrzymać ten biznes.

- Spróbujmy coś przyrządzić.

Biorę szklankę do whisky, wycieram ją szybko. Aidan Thomas patrzy na mnie z podniesionymi brwiami. To dla niego coś nowego, innego. Nie jest pewien, czy mu się to podoba. Zaczynam mieć sobie za złe, że go na to skazuję, podczas gdy on chciał tylko swoją zwykłą cherry coke.

- Zaraz wrócę.

Staram się iść jak najswobodniej. Za drzwiami wahadłowymi do kuchni Nick pochyla się nad czterema naczyniami z daniem dnia: panierowanym kotлетem schabowym, purée ziemniaczanym z serem i sosem cebulowym z boczkiem. „Proste, ale pełne smaku. Ludzie chcą wiedzieć, co mają na talerzu, ale nie przychodzą tutaj jeść czegoś, co mogą sobie przyrządzić w domu”, tłumaczył mi, jakby to było jego odkrycie, a nie coś, co ojciec wbijał mi do głowy, odkąd tylko zaczęłam raczkować. „Prawdziwe jedzenie w dobrych cenach”, mawiał też. „Nie serwujemy tylko dla ludzi z miasta. Przyjeżdżają tutaj w weekendy, ale przez cały tydzień utrzymujemy się dzięki lokalsom. Gotujemy przede wszystkim z myślą o nich”.

Eric mija mnie w wejściu, balansując trzema talerzami na lewej ręce. Uchyła drzwi i dostrzega Aidana przy barze. Zatrzymuje się i odwraca do mnie z kpiącym półśmieszkiem. Udaję, że go nie widzę, i wchodzę głębiej.

- Czy zostało jeszcze trochę herbaty z dzikiego bzu, którą parzyliśmy dziś do lunchu?

Cisza. Wszyscy albo pracują, albo mnie ignorują. Yuwanda, trzecia muszkietierka do kompletu ze mną i Erikiem, z pewnością by mi pomogła, ale jest akurat na sali i prawdopodobnie recytuje różnice między rieslingiem a gewürztraminerem. Rozglądam się po kuchni i w końcu, za kadzią z sosem ranczerskim, zauważam dzbanek. Herbaty zostało może na jedną filiżankę.

Idealnie.

Spieszę z powrotem za bar. Aidan czeka z dłońmi na kontuarze. W przeciwieństwie do większości z nas nie chwyta za telefon, kiedy tylko zostaje sam. Wie, jak korzystać z samotności, jak rozciągnąć chwilę, by odnaleźć w niej spokój, a może nawet pociechę.

– Przepraszam, że tyle to trwa.

Czuąc na sobie jego wzrok, wrzucam do szklanki kostkę cukru. Plasterek pomarańczy, odrobina angostury. Dodaję kostkę lodu, potem nalewam zimnej herbaty i mieszam. Łyzeczką – nic nie dyskwalifikuje barmana tak bardzo jak plastikowe rękawiczki – wyjmuję ze słoika kandyzowaną wiśnię maraschino.

– *Voilà*.

Uśmiecha się, słysząc moją afektowaną francuską wymowę. Czuję ciepło zbierające się w żołądku. Popycham szklankę w jego kierunku. Przysuwa ją do twarzy, wacha. Z oślepiającą oczywistością dociera do mnie, że nie mam pojęcia, co ten człowiek lubi pić poza cherry coke.

– Co dostałem? – pyta.

– Virgin old fashioned.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Staroświecka i dziewica? Rzeczywiście, sensowne połączenie.

Żar rozchodzi mi się po twarzy. Mam ochotę wyprzeć się swojego ciała. Policzki czerwienieją mi na samą aluzję do seksu, a dłonie zostawiają wilgotne ślady na kontuarze.

Bierze łyk i oszczędzając mi konieczności wymyślenia dowcipnej odpowiedzi, cmoka i odstawia szklankę na blat.

– Dobre.

Kolana uginają się pode mną na chwilę. Mam nadzieję, że nie widzi, jak moje ramiona, twarz, palce, wszystkie mięśnie mojego ciała rozluźniają się od ulgi.

- Cieszę się, że ci smakuje.

Stukanie paznokci o bar po lewej stronie. Cora. Potrzebuje jednej martini z wódką i jednego bellini. Wrzucam lód do kieliszka od martini i rozglądam się za otwartą butelką szampana.

Aidan Thomas obraca kostkę lodu na dnie swojego drinka. Bierze mały łyk i obraca jeszcze raz. Oto piękny mężczyzna, który tak wiele zrobił dla naszego miasteczka. I który miesiąc temu stracił żonę. Siedzi przy moim barze, sam, choć przecież stroni od alkoholu. Muszę myśleć, że nawet jeśli w samym centrum jego życia powstała ziejąca wyrwa, nawyk przychodzenia tutaj przynosi mu nieco pocieszenia. Muszę myśleć, że to wszystko - wspólne milczenie, cichy rytuał - dla niego też coś znaczy.

Każdego mieszkańca naszego miasteczka łączy z Aidanem Thomasem jakaś historia. Kiedy byłeś dzieckiem, na pewno w ostatniej chwili uratował ci tyłek przed bożonarodzeniową paradą. Zjawił się z pasem narzędzi wokół bioder, gdy potrzebowałeś pomocy, i skręcił obluźwane sanie albo wyprostował rogi renifera.

Gdy dwa lata temu podczas wyjątkowo silnej burzy drzewo runęło na dom starego pana McMillana, Aidan pojechał do niego, ustawił agregat prądowórczy, a potem zabrał się do naprawy linii energetycznej. Przez następny miesiąc w każdy weekend wracał, żeby załatać dach. Pan McMillan próbował mu za to zapłacić, ale Aidan nie chciał przyjąć pieniędzy.

Historia, która łączy z Aidanem Thomasem moją rodzinę, wydarzyła się, kiedy miałam trzynaście lat. Podczas serwowania obiadów spaliła nam się komora chłodnicza na zapleczu. Zapomniałam już, jaka była konkretna przyczyna, albo nigdy nie próbowałam się tego dowiedzieć. Zawsze chodziło o coś podobnego - awarię sprzętarki albo zły obieg ciepłego i zimnego powietrza... Ojciec odchodził od zmysłów, zastanawiając się, jak to naprawić i jednocześnie nie przerywać pracy kuchni. Podśluchał go przemily mężczyzna,

który akurat jadł obiad z żoną. Zaoferował pomoc. Ojciec się zawa-
hał, a potem – co rzadko mu się zdarzało – wzruszył ramionami,
stwierdzając: „Cholera, w sumie czemu nie”, i zaprowadził go na
zaplecze. A Aidan Thomas spędził większość tego wieczoru na ko-
lanach, raz na jakiś czas grzecznie prosząc o narzędzie i uspokajając
wyczerpany personel.

Kiedy kuchnia zakończyła pracę, naprawiona chłodnia już
stygła. Mój ojciec też zdążył ochłonąć. Na zapleczu zaproponował
Aidanowi Thomasowi i jego żonie po kieliszku gruszkowej brandy.
Oboje odmówili: on nie pił, a ona od niedawna była w ciąży.

Tamtego wieczoru pomagałam w restauracji, jak to się często
zdarza dzieciom właścicieli. Kiedy podeszłam do stanowiska hos-
tessy, żeby napełnić miskę miętówek, zobaczyłam Aidana Tho-
masa na sali. Przetrzęsął kieszenie płaszcza, tak jak to zwykle na
koniec posiłku robią klienci w poszukiwaniu portfela, telefonu czy
kluczy od samochodu. Z kuchni dobiegł nas gromki śmiech ojca.
Mojego ojca, na co dzień świetnego szefa kuchni o krewkim tem-
peramencie, którego perfekcjonizm często owocował wybuchami
gniewu. Teraz wydawał się taki zrelaksowany. Cieszył się rzadką
chwilą wytchnienia w restauracji, którą sam otworzył, i dawno
nie widziałam go tak szczęśliwego.

– Dziękuję panu za to.

Aidan Thomas podniósł wzrok, jakby dopiero teraz zauważył, że
tu jestem. Miałam ochotę złapać słowa, które właśnie uleciały z mo-
ich ust, i połknąć je z powrotem. Kiedy jesteś dorastającą dziewczy-
ną, bardzo szybko zaczynasz nienawidzić brzmienia swojego głosu.

Spodziewałam się, że z roztargnieniem kiwnie mi głową i po-
mknie z powrotem do kuchni, nie szukając dłuższego kontaktu
z nagabującym dzieckiem, jak zrobiłaby większość dorosłych. Ale
Aidan Thomas nie przypominał większości dorosłych. Nie przy-
pominał nikogo.

Uśmiechnął się. Puścił do mnie oko. I powiedział poważnym,
niskim głosem, który uderzył mnie gdzieś głęboko, trafił do tej czę-
ści ciała, której istnienia dotąd nawet nie podejrzewałam:

- Nie ma za co.

To było nic i zarazem wszystko. Zwyczajna uprzejmość i nieskończona życzliwość. Blask światła, który padł na niezauważaną przez nikogo dziewczynę, wyrwał ją z cienia i pokazał światu.

To było coś, czego potrzebowałam. I wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłam tego pragnąć.

Teraz widzę, jak Aidan Thomas zastyga w połowie łyku i patrzy na mnie przez szkło. Nie jestem już ukrytą w cieniu dziewczyną, czekającą, aż jakiś mężczyzna otoczy ją swoim blaskiem. Jestem kobietą, która sama rzuciła na siebie światło.

Wyciąga do mnie rękę. Coś się zmienia. W dobrze znanym świecie doszło do tąpnięcia, płyty tektoniczne zderzyły się ze sobą wiele kilometrów pod rzeką Hudson. Jego palce musnęły moje, kciukiem potarł wewnątrz mojego nadgarstka, a moje serce... w tym momencie moje serce nawet nie bije, nie daje rady, po prostu znikło, znikło, znikło.

- Dziękuję - odzywa się Aidan. - To było bardzo... Dziękuję. - Uścisk. Szarpnięcie czegoś niemożliwego do rozszyfrowania, ale bezcennego.

Puszcza moją rękę i odchyła głowę do tyłu, żeby dokończyć drinka. Patrzę na jego szyję. Całe jego ciało jest szczupłe, muskułarne, emanuje spokojną pewnością siebie.

- Ile jestem ci winien?

Biorę pustą szklankę i opłukuję ją nad zlewem. Chcę zająć czymś ręce, żeby ukryć ich drżenie.

- Wiesz co? Kolejka na koszt firmy.

Wyjmuje portfel.

- Daj spokój.

- Nie trzeba, naprawdę. Możesz...

„Możesz postawić mi któregoś razu drinka i będziemy kwita”, powiedziałabym, gdyby jego żona nie umarła jakieś pięć minut temu. Zamiast tego wydaję czystą ściereczkę i zaczynam wycierać jego szklankę.

- Następnym razem.

Uśmiecha się, chowa portfel z powrotem do kieszeni, wstaje i wkłada parkę. Odwracam się, żeby odstawić szklankę na półkę. Nagle się zatrzymuję. Owszem, jestem roztrzęsiona i cała twarz mi płonie, ale stało się coś istotnego. Zaryzykowałam i zadziało. Przemówiłam i nie doszło do żadnej katastrofy.

Może odważę się na jeszcze trochę więcej.

Obracam się znów przodem do baru, nachylam się nad kon-
tuarem i udaję, że dokręcam pokrywkę słoika z marynowanymi
cebulkami.

- Gdzie się teraz wybierasz? - pytam, tak jakby niezobowiąz-
jące pogawędki były dla nas chlebem powszednim.

Aidan Thomas zapina parkę pod szyję, wkłada czapkę traper-
ską i podnosi torbę z podłogi. Ta obija się o jego biodro z metalicz-
nym brzękiem.

- Gdzieś, gdzie będę mógł trochę pomyśleć.

Kobieta w szopie

Czekasz na obiad, parę kropel letniej wody. Cokolwiek. Choćby zgrzyt rozpinanego i zapinanego suwaka.

Ale on nie przychodzi.

Wizualizujesz sobie szopę od zewnątrz, zaszytą pośród drzew. Musi być już jesień. Kilka tygodni temu wyniósł wiatrak i zamienił go na grzejnik. Zamykasz oczy. Co pamiętasz z tej pory roku? Krótkie dni, słońce zachodzące o szóstej po południu. Nagie gałęzie na tle ciemniejszego nieba. Co sobie wyobrażasz? W pewnej odległości, ukryty przed tobą, jego dom. Żółte kwadraty światła w oknach, pomarańczowe liście rozrzucone po podwórzu. Może gorąca herbata. Może pączki o smaku cydru.

W oddali słyhać cichy warkot jego furgonetki. Jest tutaj, u siebie. Żyje swoim życiem. Zaspokaja swoje potrzeby. Ale nie twoje. Czekasz i czekasz, a on wciąż nie przychodzi.

Próbujesz medytować, żeby oszukać napady głodu. Przeglądasz książki, które przyniósł ci do szopy bez wyraźnej myśli przewodniej. To Stephen Kinga. Złachany egzemplarz *A Tree Grows in Brooklyn* Betty Smith, w miękkiej oprawie. *Zatańcz z mordercą* Mary Higgins Clark. Wszystkie są używane, z oślimi uszami, notatkami na marginesach. Któregoś razu, dawno temu, spytałaś, czy to jego książki. Pokręcił głową. Kolejne bibeloty, uznałaś. Rzeczy zabrane tym, które nie miały tyle szczęścia co ty.

Kucasz w rogu szopy. Nie masz innego wyjścia, skoro nie przyniósł wiadra. Kiedy się pojawi, będzie wściekły. Zmarszczy nos, rzuci w ciebie butelką wybielacza. „Bierz się do szorowania i nie przestawaj, póki niczego nie poczuję”.

Starasz się nie martwić, bo martwienie się nie pomaga, kiedy starasz się pozostać przy życiu.

Zostawiał cię już wcześniej. Ale nie tak jak teraz. Gdy upłynęło pierwszych dziewięć miesięcy w zamknięciu, mężczyzna, który trzymał cię w szopie, poinformował, że wyjeżdża. Przyniósł wiadro, pudełko batoników zbożowych i zgrzewkę małych butelek z wodą.

- Potrzebuję wyjechać - powiedział. Nie „chcę wyjechać”. Nie „muszę wyjechać”. „Potrzebuję”. - Nie zrobisz niczego głupiego. Nie ruszysz się stąd. Nie będziesz krzyczeć. Wiem, że nie będziesz.

Złapał cię za ramiona, a ty zapragnęłaś odwzajemnić ten gest. Oprzeć się na nim, choćby na chwilę. Jesteś Rachel. On cię znalazł. On nauczył cię wszystkiego, co wiesz. On dał ci wszystko, co masz.

Potrząsnął tobą, a ty się temu poddałaś.

- Jeśli będziesz coś kombinować, dowiem się o tym. I nie skończy się to dla ciebie dobrze. Rozumiesz?

Przytaknęłaś. Na tamtym etapie wiedziałaś już, jak przytakiwać, żeby ci uwierzył.

Nie było go przez trzy dni, a gdy wrócił, wyglądał jak najszcześliwszy człowiek na ziemi. Chodził energicznym krokiem, przez jego kończyny zdawał się przepływać prąd. Brał głębokie, żarłoczne oddechy, jakby powietrze nigdy jeszcze nie smakowało mu tak słodko.

To nie był mężczyzna, którego znałaś. Człowiek z wieloma zadaniami i obowiązkami.

Zrobił to, co zazwyczaj przychodził zrobić. Pełen ożywienia. Nieco dziki.

A potem ci powiedział. Nie mówił wiele. Tylko tyle, że się zgodziła. Że była idealna. Że o niczym nie wiedziała... aż się dowiedziała, ale wtedy było już za późno.

Potem zdarzyło się to znowu. Zaraz przed ostatnim Świętem Dziękczynienia. Zorientowałaś się, bo przyniósł ci resztki ze świątecznego stołu. Tak jak co roku. Nie jesteś pewna, czy on wie, że w ten sposób pilnujesz kalendarza. Podejrzewasz, że o tym nie pomyślał.

To razem dwie. Dwie, które zabił w czasie, gdy tobie pozwalał dalej żyć. Dwie potwierdzające regułę, od której ty jesteś wyjątkiem.

Za każdym razem, kiedy cię opuszczał, robił przygotowania. Tym razem nie zostawił ci niczego. Czy to znaczy, że o tobie zapomniał? Znalazł inny projekt, któremu się poświęcił?

Bez jego wizyt trudno jest odliczać dni. Wydaje ci się, że słyszysz piknięcie alarmu w jego samochodzie, gdy wyjeżdża rano, i drugie, gdy wraca wieczorem, ale nie masz pewności. Twoje ciało mówi ci, kiedy zasnąć i kiedy się obudzić. Dotykając dłonią ściany, starasz się wyczuć ciepło słońca i zimno nocy. Zgadujesz, że minął jeden dzień, potem drugi.

Pod koniec dnia drugiego, według twoich obliczeń, twoje usta przypominają papier ścierny. W twoim mózgu krążą nietoperze. Ssiesz palce, żeby wytworzyć ślinę, liżesz ścianę w poszukiwaniu skroplonej pary, czegokolwiek, co ugasi pragnienie. Wkrótce stajesz się wyłącznie ciałem, czaszką, kręgosłupem i miednicą, i stopami przywierającymi płasko do drewnianych desek; twoja skóra jest wilgotna, twój oddech ciężki.

Może przecenił twoją wytrzymałość. Może zabije cię, nie mając takiego zamiaru. Wróci, otworzy szopę i zobaczy, jak leżysz zimna i bez życia, tak jak od początku było ci pisane.

Trzeciego – jak ci się wydaje – dnia słyszysz zgrzyt kłódki. Widzisz jego sylwetkę w drzwiach, w jednej ręce wiadro, w drugiej butelka. Powinnaś usiąść, wyrwać mu wodę, odkręcić korek i pić, pić, pić, aż świat znów stanie się wyraźny. Ale nie możesz. To on musi podejść, kucnąć przy tobie, umieścić szyjkę butelki na wysokości twoich ust.

Przełykasz wodę. Wycierasz wargi wierzchem dłoni. On wygląda nieswojo. To mężczyzna, który zwykle dba o prezencję. Na skórze policzków i szyi ma czasem zacięcia od maszynki do golenia. Jego włosy pachną trawą cytrynową. Białe zęby, zdrowe dziąsła. Nigdy tego nie widziałas, ale jesteś pewna, że codziennie

rano i wieczorem gorliwie je nitkuje, a na koniec płucze płynem. Ale dzisiaj wygląda gorzej. Jego broda jest zaniedbana, spojrzenie skacze niespokojnie po szopie.

- Jedzenie? - rzucasz chrapliwym głosem.

Kręci głową.

- Nadal nie śpi. Pakuje się.

Zakładasz, że mówi o córce.

- Więc nie ma nic? Zupełnie nic?

Zdajesz sobie sprawę z ryzyka, ale minęły trzy dni i kiedy zaspokajasz pragnienie, które paraliżowało organizm, zaczynasz czuć wszystko: otchłań głodu pod klatką piersiową, ból w plecach, tysiąc sygnałów alarmowych wysyłanych przez wszystkie poranione części twojego ciała.

Podnosi ręce.

- No co? Myślisz, że mogę po prostu odgrzać ci obiad w mikrofalówce i wyjść, a ona nie będzie zadawać żadnych pytań?

Przynoszone przez niego jedzenie jest zawsze częścią większej całości. Porcja lasagne, miska gulaszu, kawałek zapiekanki wykrojony ze środka. Posiłki, których ubywanie trudno zauważyć. Dużo bardziej dyskretne niż kawałek pizzy, cheeseburger czy nóżka kurczaka. Od początku gotuje potrawy na kilka dni, chowa porcje dla ciebie i przynosi je do szopy. To jedna z metod, które obmyślił, żebyś pozostała jego sekretem.

Siada obok ciebie ze stęknieniem. Czekasz, aż złapie za suwak twojej bluzy i pociągnie w dół, obejmie dłońmi twoją szyję. Zamiast tego sięga do swojego paska. Mignięcie, błysk metalu.

Rozpoznajesz tę broń. To ta sama, z której mierzył do ciebie pięć lat temu: czarny pistolet przedłużony błyszczącym tłumikiem.

Palce twoich stóp drgają, jakby szykowały się do biegu. Łańcuch, zimny i ciężki, napina się przy kostce. Ciągnie cię w dół, jakby chciał wcisnąć cię w ziemię, najpierw stopy, a potem całą resztę.

Skup się. Obserwuj go.

Jego pierś porusza się w górę i w dół, jeden głęboki wdech za drugim. Gdy już pozbyłaś się zamroczenia spowodowanego od-

wodnieniem, jesteś w stanie czytać go wyraźniej. Zmęczony, ale nie wyczerpany. Oszołomiony, ale nie chory. Jest sterany, owszem, ale szczęśliwy. Jak po ukończeniu forsownego zadania, po długim biegu albo stromej wspinacze.

Jak po zabiciu kogoś.

Wsuwa rękę do kieszeni i rzuca coś w twoją stronę – kot ofiarowujący zdechłą mysz.

Okulary przeciwsłoneczne. Designerskie, sądząc po ciężkich oprawkach i logo na boku. Kompletnie bezużyteczne wewnątrz szopy, ale nie o to chodzi. Sęk w tym, że te okulary do kogoś należały i ta kobieta już ich nie potrzebuje.

Teraz to czujesz. Bijący od niego triumf. Bezgraniczny dreszcz emocji po udanym polowaniu.

Ta kobieta woła do ciebie. Jaką pracę wykonywała, że mogła sobie pozwolić na takie okulary? Jak wyglądała jej dłoń, gdy poprawiała je na nosie? Czy używała ich, żeby przytrzymać sobie grzywkę? Czy założyła je pewnego słonecznego popołudnia, gdy siedziała na fotelu pasażera otwartego kabrioletu, a rozpuszczone włosy obijały się o jej policzki na wietrze?

Nie możesz iść w tę stronę. Nie możesz o niej myśleć. Nie masz czasu na to, żeby być zszokowana czy wstrząśnięta.

To twoja szansa. Dziś rozpiera go pycha. Wierzy, że jest zdolny do wszystkiego.

– Posłuchaj – mówisz.

Bierze z powrotem okulary przeciwsłoneczne, prawdopodobnie się rozmyślił. Mogłabyś rozbić szkła, użyć ich jako broni.

– Dużo myślałam. O twojej przeprowadzce.

Jego ręce nieruchomieją. Ryzykujesz tym, że właśnie psujesz mu zabawę. Zaprzątasz go z powrotem problemami codzienności, podczas gdy jedyne, czego pragnie, to być na haju najdłużej, jak to możliwe.

– Mógłbyś wziąć mnie ze sobą.

Patrzy w górę i chichocze.

– Daj spokój – mówi. – Chyba nie rozumiesz.

Ale ty rozumiesz. Znasz jego blaski i jego cienie. Wiesz, że przychodzi do ciebie niemal co wieczór, na pewno w każdy wieczór, kiedy jest na miejscu. Wiesz, że przyzwyczał się do pewnych rzeczy. To nie tak, że lubi ciebie – lubi mieć cię do dyspozycji. Lubi dostawać od ciebie, cokolwiek chce, kiedykolwiek chce.

Co zrobi, kiedy zabraknie cię pod ręką?

– Mówię tylko – podejmujesz – że wciąż możemy się widywać. To nie musi się skończyć. Nie ma takiej potrzeby.

Krzyżuje ramiona na piersi.

– Mogłabym być tam. – Wskazujesz głową w stronę drzwi. W stronę świata zewnętrznego, z którego cię zabrał, i niezliczonej rzeszy ludzi, którzy w nim pozostali. – I nikt by się o tym nie dowiedział.

Uśmiecha się. Zbliża rękę do twojej głowy i gładzi cię delikatnym, opanowanym ruchem mężczyzny, który wie, że jest bezpieczny. A potem ciągnie. Na tyle, żeby zabolalo.

– I oczywiście proponujesz to ze zwykłej troski – mówi.

Jego dotyk cię paraliżuje.

Wymyka się, otwiera zasuwę, wpuszcza do szopy zimne nocne powietrze. Na zewnątrz kłódka zatrzaskuje się na swoje miejsce. On rusza z powrotem, do córki, do resztek światła i ciepła, które pozostały jeszcze w tym domu.

Trzecia zasada przetrwania w tej szopie brzmi: jesteś najczystszym elementem jego świata. Wszystko, co się dzieje, musi się przydarzyć wam obojgu.